

Jastrzębie nad Ukrainą

19 maja 2015

Na początku marca niemiecki tygodnik „Der Spiegel” opublikował artykuł zatytułowany „Berlin zaniepokojony agresywną postawą NATO w sprawie Ukrainy”. Wynika z niego, że informacje na temat kryzysu ukraińskiego, które codziennie trafiają do głównych mediów w Polsce i na podstawie których zbudowana jest wiedza Polaków na temat sytuacji na Ukrainie, w krajach Europy zachodniej znane są od dłuższego czasu jako kontrowersyjne i wielokrotnie wykazano, że są fałszywe lub przesadzone.

Głównym bohaterem artykułu jest generał Philip Breedlove, dowódca NATO na Europę. Generał znany jest z częstych i wojowniczych wystąpień podczas których prezentuje zaskakujące informacje na temat sytuacji we wschodniej Ukrainie. Dziennikarze „Der Spiegel” piszą, że informacje te stoją w całkowitej sprzeczności z tym o czym informują raporty niemieckiego wywiadu wojskowego i źródła wywiadowcze innych państw NATO w Europie Zachodniej.

W okresie po porozumieniu w Mińsku, gdy niemiecki wywiad i obserwatorzy z krajów UE potwierdzali, że zawieszenie broni jest respektowane przez obie strony konfliktu, Breedlove stanął przed kamerami i poinformował, że Putin wysłał do Donbasu „dobrze ponad tysiąc pojazdów bojowych, rosyjskie oddziały bojowe, niektóre ze swoich najbardziej zaawansowanych [elementów systemu] obrony przeciwlotniczej, bataliony artylerii” i dodał, że „to co jest oczywiste, to to, że teraz sytuacja się nie poprawia. Staje się gorsza każdego dnia”. Polscy telewidzowie mogli usłyszeć o tym wystąpieniu w każdym wydaniu wiadomości w tym dniu. „Der Spiegel” natomiast pisze: „Niemieccy przywódcy w Berlinie byli zdumieni. Nie mieli pojęcia o czym Breedlove mówi. I to nie po raz pierwszy”. Breedlove całymi miesiącami informował media o rzekomych rosyjskich działaniach we wschodniej Ukrainie, o ruchach wojsk na granicy, o gromadzeniu uzbrojenia i kolumnach rosyjskich

czołgów. Wszystkie te informacje natychmiast powtarzały polskie media, w szczególności TVP i TVN a politycy i komentatorzy wszystkich niemal opcji straszili zagrożeniem nie tylko dla Ukrainy ale też Polski.

Według dziennikarzy „Der Spiegel”, wszystkie informacje prezentowane przez Breedlove’a były sprzeczne z informacjami, którymi dysponują wywiady państw europejskich. W otoczeniu kanclerz Merkel, wystąpienia Breedlove’a określa się jako „niebezpieczną propagandę”. Choć zarówno niemiecki wywiad (BND) jak i niemieccy eksperci od spraw Rosji nie mają wątpliwości, że Rosja wspiera separatystów w Donbasie – w tej sprawie mało kto ma wątpliwości – to jednak w biurach niemieckiego rządu oświadczenia Breedlove’a w sprawie ruchów rosyjskich wojsk lub czołgów wprawiają ekspertów i polityków w osłupienie. „Fałszywe twierdzenia i przesadzone relacje, (...) postawiły NATO – i tym samym cały Zachód – w obliczu niebezpieczeństwa utraty wiarygodności” – mówił w rozmowie z „Der Spiegel” jeden z czołowych polityków niemieckich.

W lutym tego roku, w trakcie trwania negocjacji dyplomatycznych w Mińsku, amerykański generał Ben Hodges ogłosił „bezpośrednią rosyjską interwencję”. Dzień później ukraińscy wojskowi ostrzegali, że Rosjanie przeprowadzili przez granicę 50 czołgów i dziesiątki rakiet i dostarczyli je separatystom do Ługańska. Rząd w Berlinie zwrócił się do swoich agencji wywiadowczych o ocenę tych informacji. Wywiad odrzucił je jako nieprawdziwe. Nawet amerykańscy funkcjonariusze wywiadu, którzy współpracują z wywiadem niemieckim byli zaskoczeni tymi informacjami i nie podzielali opinii Hodgesa. „Der Spiegel” cytuje przy tej okazji opinię agenta, który mówił, że „do dzisiaj pozostaje tajemnicą jak generał Hodges doszedł do takich konkluzji”.

Na początku kryzysu, generał Breedlove ogłosił, że Rosjanie zgromadzili przy granicy z Ukrainą 40 tysięcy żołnierzy i ostrzegł, że inwazja może się rozpocząć w każdej chwili. Oceniał sytuację jako „niewiarygodnie niepokojącą”. Wystąpienie

generała miało miejsce zaraz po tym, jak eksperci wywiadowczy z innych krajów NATO wykluczyli możliwość jakiegokolwiek rosyjskiej inwazji, zwracając uwagę na skład jednostek i ich wyposażenie. Breedlove znał opinie ekspertów z innych krajów, jednak wystąpił ze swoim alarmistycznym wystąpieniem przed kamerami. Żołnierzy nie było 40 tysięcy lecz prawdopodobnie mniej niż 20 tysięcy. Większość sprzętu wojskowego nie została do granicy przywieziona w tym czasie i przez te jednostki lecz sprzęt znajdował się tam już dawno, jeszcze przed rozpoczęciem konfliktu na Ukrainie. I w końcu – nie było żadnych śladów logistycznych przygotowań do inwazji – słowem, Breedlove wszystko zmyślił lub został zachęcony do przedstawienia fałszywych informacji.

Przy innej okazji Breedlove mówił o swojej wizycie na Ukrainie: „widzieliśmy kolumny rosyjskiego sprzętu – przede wszystkim rosyjskie czołgi, rosyjską artylerię, rosyjskie systemy przeciwlotnicze i rosyjskie jednostki bojowe – wkraczające na terytorium Ukrainy”. „Der Spiegel” tłumaczy, że Breedlove powoływał się tu na raporty OBWE. Jednak raporty OBWE mówiły o zaobserwowanych konwojach wojskowych na samej Ukrainie i nie mówiły ani słowa o oddziałach wkraczających z Rosji.

Gdy dziennikarze „Der Spiegel” przedstawili Breedlove’owi listę jego kontrowersyjnych i odbiegających od prawdy stwierdzeń, prosząc o przedstawienie jakichś dowodów na ich poparcie, ten odpowiedział, zgodnie z prawdą, że oceny wywiadowcze centrali NATO bazują na raportach i analizach od 33 członków sojuszu i że „oceny te nie zawsze pasują do ocen poczynionych przez pojedyncze kraje”. Innymi słowy, oceny armii amerykańskiej mogą się różnić od innych. „To normalne, że nie każdy zgadza się z ocenami, które ja przedstawiam” – napisał generał. Generał może być jednak spokojny o to, że z jego ocenami – w pełni i bez zastrzeżeń – zgadza się polski rząd i główne media w Polsce. Nawet gdy fakty mówią coś innego.

Kontrowersje wokół wystąpień Breedlove'a narosły do tego stopnia, że sprawą zajęto się podczas jednego z marcowych spotkań Rady Północnoatlantyckiej. Ze strony części ambasadorów przybyłych na spotkanie padły słowa krytyki wobec wystąpień radykalnego generała. Zwrócono uwagę na to, że kontrowersyjne wystąpienia Breedlove'a mają miejsce na ogół wtedy, gdy uda się poczynić krok naprzód w trudnych negocjacjach normalizacyjnych w sprawie Ukrainy.

Socjaldemokratyczny polityk Niels Annen mówi, że kierowane w Europie przez Breedlove'a NATO „ogłaszało nową ofensywę rosyjską zawsze w momencie gdy (...) nadchodził czas na ostrożny optymizm [w negocjacjach]. My parlamentarzyści często byliśmy wprowadzani w błąd przez informacje dotyczące rzekomych ruchów wojsk”.

Tygodnik zwraca też uwagę na ogromną presję z jaką ma do czynienia prezydent Obama – zarówno ze strony amerykańskich Republikanów jak i członków Partii Demokratycznej. Oznacza to, że każde niepowodzenie w negocjacjach pokojowych i każde nowe napięcie we wschodniej Ukrainie, będzie wykorzystane do zmuszenia administracji w Waszyngtonie do wysłania na Ukrainę broni (formalnie chodzi o „pozytywne rozpatrzenie prośby rządu Ukrainy” o dostarczenie tak zwanych „środków obrony”). To oczywiście będzie oznaczać dramatyczną eskalację konfliktu, co znamy z historii ostatnich dekad. Teraz wiemy, że wyposażenie dla wojska już tam trafia a ukraińskie wojsko oraz tak zwana Gwardia Narodowa, czyli szwadrony złożone ze skrajnie prawicowych bojówkarzy, już teraz są szkolone przez żołnierzy z kilku krajów NATO.

Generał Breedlove to nie jedyne źródło dezinformacji. Tygodnik wymienia tu także inną osobę odpowiedzialną za utrudnianie poszukiwań dróg do rozwiązania problemu ukraińskiego drogą dyplomatyczną. Chodzi o Victorię Nuland, szefową ds stosunków europejskich w amerykańskim Departamencie Stanu.

Nuland w przypadku zwycięstwa kandydata Republikanów w

wyborach prezydenckich w przyszłym roku ma szansę objąć funkcję sekretarza stanu. To bardzo ważna postać w amerykańskiej polityce w sprawach Rosji. Podobnie jak Breedlove, reprezentuje agresywną frakcję amerykańskiego establishmentu, która za wszelką cenę chce doprowadzić do zbrojenia Ukrainy. W trakcie Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium zebrała amerykańską delegację za zamkniętymi drzwiami by poinstruować ich jak prowadzić rozmowy, by przełamać europejską niechęć w sprawie wysyłania broni na Ukrainę. Chodziło o propagowanie przez amerykańskich delegatów opinii jakoby Rosja była coraz bardziej agresywna „a my chcemy pomóc Ukraińcom się obronić”. Bardziej specjalistycznym językiem ze świata wojskowości miał agitować międzynarodowych delegatów generał Breedlove.

Wszelkie informacje o eskalacji konfliktu na Ukrainie wprowadzają atmosferę strachu nie tylko na Ukrainie ale także w Polsce, gdzie cały kryzys ukraiński prezentowany jest bardzo jednostronnie i zawsze w taki sposób, by wynikało, że Polska znajduje się w stanie zagrożenia.

Pomijając geopolityczne, perspektywiczne plany doprowadzenia do kryzysu w Rosji i dokonania tam przewrotu, co sugeruje wielu obserwatorów, wydaje się, że głównym celem USA i ich obecnej militarnej propagandy jest zapewnienie zysków firmom zbrojeniowym. To nie tajemnica, że najbardziej bojowi przedstawiciele amerykańskiego establishmentu, czyli tzw „jastrzębie” reprezentują interesy wielkich korporacji zbrojeniowych. Najbardziej rażącym tego przykładem z ostatnich lat była agresja na Irak i fakt, że na tej wojnie gigantycznych zysków dorobiły się firmy w których kluczowe stanowiska lub duże wpływy mieli przedstawiciele administracji Busha i sponsorzy Republikanów (np. firma Halliburton).

Amerykański przemysł zbrojeniowy ma dużo do zyskania na zaognieniu sytuacji na Ukrainie i w regionie. Chodzi tu nie tylko o dostawy broni na Ukrainę ale także do Polski. Z oddaniem pomagają w tym „jastrzębie” znad Wisły. Jak wiadomo,

Polska stoi przed największymi w historii polskiej armii wydatkami na zbrojenia. Przetarg na śmigłowce wielozadaniowe nie poszedł po myśli amerykańskiej korporacji Sikorsky, ale polski rząd kupi też pociski do odrzutowców F-16, okręty podwodne, taktyczne pociski manewrujące – być może Tomahawk i dużo innego wyposażenia za dziesiątki, może setki miliardów złotych. Już teraz rząd zapowiada wydatki sięgające 130 miliardów złotych w ciągu najbliższych siedmiu lat.

To co jest zastanawiające, to brak w polskiej przestrzeni politycznej – rządzie, parlamencie, głównych mediach – krytycznego myślenia o sprawie tego konfliktu. Jak to możliwe, że jedyna wersja wydarzeń na Ukrainie o której słyszeć w Polsce to ta w duchu wystąpień generała Breedlove'a, z której śmieje się cała Europa? Częściową odpowiedź może dawać fakt, że duża część polskiego establishmentu to ignoranci. Polskich polityków do wielu rzeczy może przekonać pierwszy lepszy lobbysta, szczególnie gdy pochodzi z USA.

Rząd i prezydent często powołują się na „polską rację stanu” gdy komentują wydarzenia wokół Ukrainy. Prawda jest jednak taka, że polski rząd zachowuje się wyjątkowo mało samodzielnie na arenie międzynarodowej i polityka zagraniczna Polski od dawna jest echem polityki USA. Relacje te często przybierają groteskową formę, znaną ze stosunków między USA i tzw. bananowymi republikami w Ameryce Łacińskiej. Pod koniec zeszłego roku, po tym jak podpisano umowę na mocy której z pieniędzy polskiego podatnika wydane zostaną setki milionów złotych na zakup w USA nowych pocisków do samolotów F-16, minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak dziękował ambasadorowi USA za „nadzwyczaj sprawną procedurę wydania zgody przez rząd w Waszyngtonie na eksport pocisków” i mówił: „Dla nas jest to dowód na to, że Stany Zjednoczone niezachwianie stoją przy naszym boku, tak jak to mówił prezydent Barack Obama 4 czerwca na pl. Zamkowym w Warszawie”. Tego typu lokajską postawą jest pewnym wytłumaczeniem sytuacji w której wszelkie amerykańskie opinie traktowane są jako

prawdziwe a porady i zalecenia jako słuszne.

Gdy prezydent Komorowski mówi, że Polska, w odróżnieniu od innych krajów, jest zagrożona ze względu na swoje położenie geograficzne, czyli graniczenie z Ukrainą, to wydaje się być szczery. Znając jego pecha, mógł przegapić fakt, że są jeszcze inne państwa graniczące z Ukrainą, które jednak nie stają w pierwszym szeregu antyrosyjskich sankcji i zaczepiek. Ani Słowacja, ani Węgry ani Rumunia, choć są członkami NATO, nie prowadzą w relacjach z Rosją polityki zbliżonej do polskiej i nie nakręcają wewnątrz krajowej histerii wojennej. Czy prezydent o tym nie wie? Przecież prezydent ma grono doradców, ludzi światłych, wykształconych, znających języki, jeżdżących po świecie, utrzymujących kontakty międzynarodowe, analizujących informacje ze świata, studiujących raporty wywiadu, czytających zagraniczną prasę. Czy prezydent nie jest dopuszczany do informacji? Czy doradcy nałożyli na niego filtr informacyjny?

A co z członkami rządu? Czy tutaj też wiedza kończy się na doradcach a pani premier i ministrowie mają jedynie deklamować przygotowane wcześniej wystąpienia, bez konieczności zagłębiania się w trudne sprawy polityczne?

Rząd w Warszawie musi legitymizować ogromne wydatki na zbrojenia jakąś rzeczywistą potrzebą. Trwająca od miesięcy propaganda w Polsce doprowadziła już do tego, że większość Polaków jest prawdopodobnie skłonna zaakceptować te ekstrawaganckie zakupy ze swoich podatków, bo w dzisiejszej atmosferze wojennej histerii, bardzo łatwo uciszyć wszelką krytykę wydatków na broń argumentem o rzekomym „zagrożeniu bezpieczeństwa kraju”. Dlatego nie należy się dziwić, że z ust przedstawicieli rządu będziemy w najbliższym czasie słyszeć bardzo dużo o zagrożeniu, o konieczności zbrojenia, konieczności obrony kraju i wiele historii o rzekomych działaniach wroga na wschodzie.

Podobna w treści narracja zgodnie z którą „Polska jest

zagrożona, więc Polska musi się zbroić” płynie z prawie wszystkich stron sceny politycznej i wszystkich głównych mediów. Pojawiają się w prawdzie głosy mówiące, że zbroić trzeba się w naszych rodzimych firmach zbrojeniowych a nie w zagranicznych ale nikt nie kwestionuje sensu samych zbrojeń. W niedawnej dyskusji na temat tego od kogo polski rząd ma kupić śmigłowce wielozadaniowe, nikt nie zapytał ile szpitali i ile szkół można wybudować i wyposażyć za pieniądze które pójdą na rakiety i śmigłowce. Ile sal położniczych, karettek pogotowia, respiratorów, ile sprzętu który na przykład corocznie kupuje fundacja Owsiana? Ile wyposażenia dla uniwersytetów?

Przeglądając media głównego nurtu, można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z dobrze przygotowaną i zaplanowaną kampanią informacyjną i propagandową na rzecz zbrojeń i przeciwko Rosji. Wszelkie opinie krytyczne są cenzurowane albo ośmieszane, prezentowane w fałszywym świetle z sugestią, że stoi za nimi Rosja lub „trolle Putina”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że za tą kampanią stoją faktycznie jacyś „trolle” ale raczej nie od Putina, lecz trolle warszawscy lub waszyngtońscy. Czy są nimi „przedstawiciele handlowi” przemysłu zbrojeniowego, w tym ich dziennikarze, politycy, partie, bloggerzy, komentatorzy w internecie – ich szerokie lobby?

Nie ma wątpliwości, że władze w Warszawie musiały znać niezależne, choćby niemieckie, opinie na temat sytuacji we wschodniej Ukrainie. Znał je każdy, kto chciał znać. A jednak wybrały propagowanie wersji radykalnych militarystów waszyngtońskich. Jeśli polskie władze świadomie prowadzą od miesięcy tę kampanię, jeśli od początku chodziło o stworzenie odpowiedniej atmosfery społecznej do wmówienia Polakom, że wielomiliardowe wydatki na zbrojenia są konieczne, jeśli nikt tak naprawdę nie wierzył w zagrożenie a chodziło tylko o przetargi na wyposażenie dla armii, to mamy tu poważny problem.

Po pierwsze jest to problem prawny, bo sytuacja w której rząd

prowadzi działania polityczne w interesie korporacji, możliwe, że w zamian za wsparcie finansowe swoich partii, zakrawa na korupcję. Ktoś kiedyś powinien zbadać w jakim stopniu te gigantyczne wydatki miały uzasadnienie w postaci szczerych obaw a w jakim stopniu uzasadniała je krwawa kampania PR lobby zbrojeniowego.

Po drugie jest to problem polityczny, bo oznacza to, że główne siły polityczne w kraju zdolne są do postawienia na szali bezpieczeństwa i pokoju w imię interesów korporacji zbrojeniowych i zdolne do zorganizowania zmasowanej kampanii dezinformacji i manipulacji w celu zastraszenia obywateli. Czy gdy premier Tusk wygłaszał swoje żałośnie naiwne zdanie o tym, że polskie dzieci mogą nie pójść we wrześniu do szkoły, to tak naprawdę chodziło o napędzenie odpowiedniej dla lobby zbrojeniowego atmosfery strachu a nie o troskę o Polaków i polskie dzieci?

Po trzecie mamy tu problem moralny, bo okazuje się, że Polska, która tak bardzo deklaruje się jako przyjaciel Ukrainy, traktuje ją jedynie jako element swojej mglistej „polskiej racji stanu” zgodnie z którą zaognianie konfliktu na wschodzie Ukrainy i torpedowanie wysiłków dyplomatycznych jest rzekomo korzystne dla naszego państwa i kraju. Jeśli jest inaczej, to dlaczego faworyzuje się w Polsce myślenie w stylu „jastrzębi” z Waszyngtonu a nie tych, którzy wzywają do rozwiązań dyplomatycznych? Nie wykluczone, że częścią tej „polskiej racji stanu” jest też nadzieja na możliwość odsprzedaży Ukrainie niepotrzebnego, starego wyposażenia wojskowego. Czy rzekomi przyjaciele Ukrainy, „jastrzębie” z Warszawy chętnie też zarobią na ukraińskiej krwi? Jeśli tak, to polskie państwo wcale nie jest przyjacielem Ukraińców tylko ich cynicznym wrogiem.

Autorstwo: Bartłomiej Zindulski

Źródło: Lewica.pl